

JÜRGEN  
THORWALD  
KREW KRÓLÓW

PRZEŁOŻYL  
KRZYSZTOF JACHIMCZAK

MARGINESY

*Blut der Könige*

COPYRIGHT © 1977 BY Knaur Verlag. An imprint of Verlagsgruppe  
Droemer Knaur GmbH & Co. KG, Munich

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Krzysztof Jachimczak

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,  
Warszawa 2022

# I

## ALFONS

*Najstynniejszą nosicielką hemofilii jest królowa Anglii Wiktoria.  
To ona zaraziła połowę książęcych rodów Europy.*

– profesor dr Gigante, Rzym –

*Królowa Wiktoria odegrała znaczącą rolę w doprowadzeniu  
do rewolucji rosyjskiej i hiszpańskiej. Gdyby dzieci królowej  
Wiktorii nie odziedziczyły po niej hemofilii, prawdopodobnie  
historia potoczyłaby się innym torem.*

– profesor Haldane, Londyn –

– Bądź dla mnie miła – powiedział. – Jestem bardzo nie-  
szczęśliwy.

Mimo długiego czasu, jaki Alfons spędził na amerykańskiej Florydzie, w jego głosie nadal pobrzmiwał angielski akcent, który księżę przejął w Madrycie od swojej pięknej matki, Angielki z pochodzenia. Z uczuciem bezgranicznego wyczerpania leżał na otomanie, ukazując szczupłe, wydelikacowane ręce i nogi starego rodu oraz dużą obwisłą wargę, którą odziedziczył po ojcu.

Przez szeroko otwarte okna dobiegały odgłosy nocnego życia Miami.

Siódma noc wrześniowa roku 1938 była duszna. Palmy przed oknami niemal się nie poruszały. Słaby powiew wiatru, który od Atlantyku docierał do białozółtego morza domów Miami i przemieszczał się ku Zatoce Meksykańskiej, nie przynosił orzeźwiającego chłodu.

Dziewczyna opierała się o ścianę przy oknie pół metra od Alfonsa. Była to wysoka, dwudziestopięcioletnia brunetka. W matowym blasku światła lekko połyskiwała smagła skóra jej ramion. Nazywała się Mildred Gaydon i sprzedawała papierosy w jednym z nocnych klubów przy bulwarze.

– Dlaczego jesteś nieszczęśliwy? – spytała dziecinnie, spoglądając na niego naiwnym wzrokiem. – Przecież jesteś księciem. Jesteś prawdziwym księciem, tak powiedział Bill. Na pewno kiedyś zostaniesz królem Hiszpanii, jak skończy się ta głupia wojna domowa... Będziesz mieszkał w wielkim pałacu...

Sporo wypił. Nie otwierał oczu i może właśnie dlatego dziś wieczorem wydawał się Mildred taki dziwny. Zazwyczaj nadużywał alkoholu, od kiedy – wśród szeptów ciekawskich i żądnych sensacji gości przekazujących sobie informację, że to następca tronu hiszpańskiego, księżę Alfons – zaczął bywać w jej klubie.

Mildred była w jego pokoju po raz pierwszy. Nie należała do dziewczyn zawsze gotowych na szybkie i tanie przygody łóżkowe.

Ale on był tak nieopisanie smutny, zrozpaczony i zdenerwowany, a poza tym nie żądał od niej wiele, chciał tylko, żeby nie zostawiała go samego. Dlatego w końcu zdecydowała się z nim pójść.

Miał dopiero trzydzieści jeden lat. Wiedziała to od barmana Billa. Najwidoczniej nie brakowało mu pieniędzy na samochody, kluby nocne i kobiety, choć często nie miał czym zapłacić za swoje drinki. Zatrudniał też własnego sekretarza. Nie ulegało wątpliwości, że był prawdziwym następcą tronu, chociaż najczęściej przedstawiał się tylko jako hrabia

Covadonga, rzadziej zaś jako Alfons, książę Asturii. Tak właśnie zwracali się do niego Hiszpanie, którzy czasami pojawiali się w jego towarzystwie w barze.

Mildred dyskretnie przeniosła badawcze spojrzenie na obrazy wiszące nad otomaną, przedstawiające pałac królewski w Madrycie i most Toledański, wznoszący się nad rzeką Manzanares.

– To wasz pałac? – spytała. – Jak z bajki... naprawdę jak z bajki...

– Jak z bajki? – powtórzył z lekką drwiną. – To tylko jeden z naszych pałaców. Poza tym jest jeszcze siedem innych, w Aranjuez, w La Grani i w El Pardo. Mamy też Alkazar w Toledo, pałac Miramar w San Sebastian i pałac Magdaleny w Santander. A każdy następny jest jeszcze potworniejszym więzieniem niż poprzedni.

– Mój Boże – szepnęła – tyle pałaców, a wszystkie należą do twoich starych.

– Przestań gadać o pałacach. Przestań! – zawołał. – To więzienia. Więzienia i szpitale, nic więcej...

– No dobrze – powiedziała – więc jesteś... – Ale kierując się ostrożnością, jakiej nauczyła się w kontaktach z gośćmi klubu, połknęła słowo „chory”. Oczywiście, że był chory. Bill Shulman jej o tym powiedział i pokazał gazety, w których można było przeczytać, ile czasu Alfons przeleżał w szpitalach, walcząc o życie, w Miami, w Nowym Jorku i w Hawanie, i że przed rokiem jego matka, ekskrólowa hiszpańska Ena, specjalnie przybyła z Francji, żeby go odwiedzić w szpitalu, gdzie spodziewano się jego śmierci. To była taka zwariowana choroba, nazywana hemofilią czy jakoś tak. Bill wyjaśnił Mildred mniej więcej, co to oznacza, i za każdym razem przebiegał ją

dreszcz, gdy sobie pomyślała, że człowiek może się wykrwawić nawet od zwykłego zadrażnienia przy goleniu.

Alfons sięgnął tymczasem po jej rękę i ścisnął ją mocno. Najwidoczniej wcale nie usłyszał jej słów.

– Dzisiaj musisz zostać przy mnie – powiedział błagalnie, jakby powodowany bezdennym lękiem. – Dzisiaj nie możesz mnie zostawić samego. Mam przeczucie, że coś mi się stanie. Jeśli w przeszłości coś miało mi się przytrafić, zawsze wiedziałem o tym wcześniej...

Przestraszona, próbowała uwolnić dłoń. Poczula strach, przyszło jej bowiem do głowy, że w jakiś tajemniczy sposób mógłby się wykrwawić w jej obecności.

– A niby co takiego miałyby ci się przytrafić? – spytała uspokajająco. Ale powiedziała to tylko po to, żeby zagłuszyć własny lęk.

– Od kiedy się urodziłem, zawsze coś mi się przytrafiało... – odrzekł. – Od kiedy nauczyłem się chodzić, poruszam się na linii rozciągniętej nad przepaścią i w każdej sekundzie coś się może stać, a ja runę w dół. – Krople potu wystąpiły mu na pociągłą twarz. – Niektórzy myślą, że można się do tego przyzwyczaić. Ale do tego nie można się przyzwyczaić. Człowiek nigdy się do tego nie przyzwyczai. Daj mi jeszcze whisky.

Chciała skorzystać z okazji i uwolnić rękę, ale on trzymał ją w kurczowym uścisku długich palców. Wolną dłońią po omacku sięgnęła po butelkę i szklankę.

– Przecież dobrze wiesz, co mi jest – powiedział. – Tylko nie mów, że tego nie wiesz. Na pewno czytałaś w gazetach, że jestem chory na hemofilię. Wystarczy, że zadrażnisz mnie paznokciem, a jutro mogę już nie żyć. Jeśli ty się o coś uderzysz, nic wielkiego ci się nie stanie. Ale ja mogę się wykrwawić

wewnętrznie, i właściwie nic na to nie można poradzić. Jeśli dostaniesz zapalenia wyrostka robaczkowego, to ci go wytną, a jak będziesz miała ropne migdałki, to ci je usuną. Możesz mieć tysiące innych chorób – ciebie zoperują i wyzdrowiejesz. Natomiast ja musiałbym umrzeć z powodu głupiej ślepej kiszki, bo nikt nie potrafi mnie zoperować, nie wywołując śmiertelnego krwotoku. Wyrosłem wśród lekarzy i pielęgniarek, w atmosferze wiecznej tajemniczości...

Opróżnił szklankę dużymi łykami i znów ułożył głowę na poduszce.

– A potem rodzina dziwi się, gdy pewnego dnia zwiewasz z tych więzień i szpitali, bo przynajmniej dzisiaj – ponieważ jutro możesz już nie żyć – albo jutro – gdyż pojutrze możesz umrzeć z powodu zadrażnienia brzytwą – chcesz jeszcze używać życia, zamiast oglądać mury pałaców i podporządkowywać się dworskiej etykietce. Dziwią się. Wydziejczą cię. Jeśli uważasz mnie za przyszłego króla, to muszę cię rozczarować. Mój czcigodny ojciec, jego wysokość ekskról Hiszpanii Alfons XIII, pozbawił mnie sukcesji tronu, ponieważ zwałem i ożeniłem się z kubańską mieszczanką... Jeśli dziś ze mną zostaniesz – odetchnął głęboko – jeśli nie zostawisz mnie samego, będziesz mogła sprzedać prasie piękną historię, historię królewskiego syna, który przyszedł na świat w blasku i chwale, a jednak jest biedniejszy od ostatniego włóczęgi, a tyś była przy nim, gdy zbliżała się jego ostatnia godzina...

Znów spróbowała uwolnić rękę, ale ścisnął ją jeszcze mocniej niż przedtem.

– Nie wiem, co ci jest... – wyrzuciła z siebie. – Mój Boże, co ma się stać? Nie chcę patrzeć na krew. W ogóle nie chcę, żebyś...



– Ja też nie chcę się wykrwawić – przerwał jej ochryple. – W ubiegłym roku, dokładnie rok temu, też tego nie chciałem. I nie chciałem uwierzyć, że coś się stało. Ale wystarczyło, że przypadkiem ugryzłem pestkę pomarańczy i na dziąśle zrobiła mi się ranka, a w tutejszym szpitalu musieli we mnie wpompuwać mnóstwo zdrowej krwi, żebym jeszcze raz mógł przeżyć.

– No widzisz – powiedziała, z trudem opanowując strach. – I po co tyle gadania! Więc jednak można na to coś poradzić... Nie chcę tu zostać – szepnęła, i tym razem udało jej się uwolnić rękę. – Jeśli boisz się być sam, to pojedźmy do Miami Beach. Ale tutaj nie zostanę. Tutaj nie...

– Nie – rzekł błagalnie. – Proszę cię! Nie wsiadajmy dziś wieczorem do samochodu! Zostań ze mną tutaj. Dopóki tu leżę, nic mi się nie może stać. Mój najmłodszy brat, Gonzalo, zginął przed czterema laty właśnie przez samochód. Był drugim hemofilikiem wśród nas, dzieci. Całkiem niegroźny wypadek w Austrii, nad Wörthersee. Żadnych obrażeń, zupełnie nic. Tylko jakieś ukryte zranienie gdzieś w żołądku. Po kilku godzinach już nie żył. Nie – powiedział tonem skargi – zostań tutaj... – Znow próbował chwycić ją za rękę. Na jego twarzy malował się paniczny lęk.

Odsunęła się już od niego na odległość metra. Jej spojrzenie wyrażało jednocześnie strach i stanowczość.

– Ja poprowadzę – oświadczyła. – Będę jechała bardzo wolno. Nie zostanę tutaj, nie w tym hotelu. Jeśli mam być przy tobie, to potrzebuję powietrza i ludzi w pobliżu.

– A więc to jest jego najnowsza wybranka – rzekł doktor Ramón Caderno. Ten masywny, tryskający zdrowiem mężczyzna siedział obok ciemnowłosej kobiety w srebrnym kabriolecie, gdy Alfons niepewnym krokiem opuścił ogromną białą bryłę hotelu i ruszył bulwarem w kierunku wysłużonego samochodu.

Caderno poruszył się, jakby zamierzał wstać, wysiąść i przywitać się z Alfonsem. Jednak Alfons zniknął już we wnętrzu swojego sedana. Mildred usiadła za kierownicą i ruszyła. Kobieta obok Caderna zwróciła ku niemu okrągłą, mocno umalowaną, ale uroczą twarz.

– Zna ich pan?

– Jego – odrzekł z namysłem. – Trzy albo cztery razy leżał w moim szpitalu w Hawanie, zanim w ubiegłym roku zniknął i przeniósł się tutaj. To hrabia Covadonga, najstarszy syn ekskróla Hiszpanii Alfonsa XIII, który w trzydziestym pierwszym roku uciekł przed republikanami z Madrytu i od tej pory żyje na emigracji w Rzymie. Ten młodzieniec jest hemofilikiem i od kilku lat stara się używać życia, ile tylko się da, zanim z byle powodu będzie musiał gryźć ziemię... – Spróbował położyć rękę na krągłych, smagłych ramionach swojej towarzyszki. Jednak kobieta odsunęła się.

– Hemofilik? – spytała, by odwrócić jego uwagę. – Co to takiego?

– Och – odparł, wpadając w mentorski ton, o którym trudno było powiedzieć, czy jest autentyczny, czy tylko udawany. – Hemofilik to człowiek, którego krew ma niewystarczającą zdolność krzepnięcia i u którego po skaleczeniu ściany

naczyń krwionośnych nie ściąają się w dostatecznym stopniu. Przy każdym zranieniu i uderzeniu dochodzi do wewnętrznych lub zewnętrznych krwotoków, które dzisiaj w lżejszych przypadkach można wprawdzie powstrzymać przez transfuzję dużej ilości krwi, lecz w ciężkich przypadkach nieuchronnie kończą się śmiercią. Hrabia Covadonga już wiele razy był bliski zgonu. Kiedy jego rodzina uciekała z Hiszpanii, trzeba go było dźwigać na noszach, bo akurat miał kolejny krwotok...

– To straszne – powiedziała kobieta z lękiem, jaki wielu zdrowych odczuwa przed chorobami. – Nigdy o tym nie słyżałam. Czy mogłoby się zdarzyć, że ja nagle...

– Ależ nie – roześmiał się. – Pani na pewno nie. Może być pani spokojna. To wszystko kwestia dziedziczności. Fachowcy nie potrafią jeszcze stwierdzić, czy chodzi tu o dziedziczenie w pewnych rodzinach, w których często zawierano małżeństwa między krewnymi, czy też o zjawisko występujące nagle w wyniku mutacji w plemnikach... O, przepraszam! – Znów błysnął zębami w uśmiechu. – Mówię oczywiście jako naukowiec. A więc może chodzić o mutację w plemnikach, choć nie wiemy, jak i dlaczego tak się dzieje. Wiemy jedynie, że wprawdzie same kobiety do dzisiaj nigdy jeszcze nie zapały na hemofilię, ale dziedziczą ją tak samo jak mężczyźni. Choroba przenosi się tylko na część potomstwa. Diabelska ruletka. Alfons, którego właśnie pani widziała, zawdzięcza swoją chorobę matce, Angielce z pochodzenia, wnuczce królowej Wiktorii<sup>1</sup>, rządzącej w Londynie do tysiąc dziewięćset pierwszego roku. Wszyscy hemofilicy ze starych, książęcych rodów w Europie odziedziczyli tę chorobę właśnie po niej. Uczni nie są tylko zgodni co do tego, czy ona sama otrzymała hemofilię w wyniku mutacji w plemnikach swojego ojca,

księcia Kentu, czy też może już wcześniej chorowali na nią ich przodkowie. Ale dość już o tym...

Roześmiał się i ponownie spróbował objąć jej nagie ramiona.

– Zabawne miejsce na medyczny wykład – stwierdził. – Ale hrabia Covadonga zmusił mnie w ostatnich latach do zajęcia się tą sprawą, z którą nawet w naszym fachu rzadko się stykamy... – Włączył światło pod tarczą zegara i spróbował zmienić temat. – Proponuję, żebyśmy już pojechali, skoro moja szanowna córeczka nie umie być punktualna. Rozpakowanie rzeczy w każdym nowym hotelu trwa u tej osobki całą wieczność. Jest już spóźniona dziesięć minut...

– Jestem za tym, żebyśmy jeszcze trochę poczekali – odparła jego towarzyszka pół żartem, pół serio, wiedziała bowiem, jak bardzo zależało owdowiałemu lekarzowi na tym, by zostawić swoją nastoletnią córkę pod opieką guwernantki i pojechać tylko z nią na party, na które byli zaproszeni. – Wszystko, co mi pan opowiedział, jest tak intrygujące i zagadkowe...

– Dobrze, poczekam jeszcze pięć minut – zgodził się, ukrywając niezadowolenie. – Gdybym wiedział, że książę też się tutaj ulokował, poszedłbym zobaczyć, jak się czuje. Wydaje mi się, że wyglądał jakoś dziwnie, podobnie jak przed swoimi krwotokami w Hawanie.

Za każdym razem miał niepokojące przeczucia i przychodził do mnie na wiele dni przed tym, nim naprawdę coś mu się przytrafiło. Na przykład wtedy, gdy wpadło na niego rozpędzone dziecko i spowodowało prawie śmiertelny wylew do stawu biodrowego lub gdy niezręcznie rzucona piłka przypadkowo trafiła w czyrak na jego nodze i zaczęło się krwawienie, które nie ustawało przez wiele dni. Musieliśmy

wówczas zastosować ciągłą transfuzję krwi. A kiedy to nic nie dało, przeprowadziliśmy całkowite oczyszczenie krwi, wykorzystując krew ludzi, którym usunięto śledzionę. Przyjmuje się, że ich krew wykazuje znacznie większą krzepliwość. Wówczas wypróbowałem to po raz pierwszy. W każdym razie on zwykle przeczuwa nadejście wypadku.

– Niesamowite – powiedziała, czując dreszcz mimo upału. – Jak to się stało, że z Europy trafił akurat na Kubę, a potem znalazł się tutaj?

– A jak pani myśli? – spytał, korzystając z okazji, by odegrać rolę czarującego uwodziciela. – Co skłania mężczyzn do pokonywania oceanów? Oczywiście kobieta, w tym wypadku moja rodaczka, Edelmira Sampedro-Ocejo...

– Córka króla branży cukrowej?

– Tak – odparł. – W tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku młoda Ocejo uczyła się w Lozannie, gdy Alfons po ucieczce swojej rodziny z Hiszpanii wylądował w jednym z lozańskich sanatoriów. Prawdopodobnie miał po dziurki w nosie pałacowych murów, dworaków i lekarzy nadwornych. Zakochał się w Edelmirze, ona zaś zakochała się w hiszpańskim tytule szlacheckim, a może nawet w nim samym. Czy to można wiedzieć? W każdym razie z miejsca się z nią ożenił, a jego zamieszkujący w Rzymie ojciec wyciągnął z tego konsekwencje. Wykluczył go z sukcesji i zamiast niego ustanowił następcą tronu swojego trzeciego syna, Juana. Drugi syn, Jaime, jest bowiem głuchoniemy i nie wchodził w grę jako sukcesor. Krótko mówiąc, od tej pory Alfons i Edelmira występowali jako Covadonga lub de Bourbon. Przez dłuższy czas mieszkali w Londynie. Potem zjechali do Hawany. Po roku ich małżeństwo się rozpadło. Edelmira – cóż, to

była kobieta z temperamentem. Księżę, który połowę czasu spędzał w szpitalach, prawdopodobnie nie był tym, czego naprawdę potrzebowała. W maju ubiegłego roku rozwiedli się w Hawanie, po tym jak on dla odmiany przeleżał jakiś czas w nowojorskim szpitalu. W kilka tygodni później ożenił się ponownie, znów w Hawanie i znów z moją rodaczką, Marthą Rocafort, śliczną dziewczyną, która niestety była tylko córką dentysty.

W listopadzie ubiegłego roku znów się rozwiódł. W tym czasie leżał w szpitalu w Miami. Ale zanim opuścił Kubę, przyszedł jeszcze do mnie i pytał o jakiegoś specjalistę na Florydzie. Był niespokojny. Zawsze drżały mu nogi, kiedy się denerwował. Po tym natychmiast poznałem, co się z nim działo. Prawdopodobnie przeczuwał, że czeka go następny atak.

– Jakież to okropne – powiedziała z naiwnym zdziwieniem osoby zdrowej – czy w ten sposób można żyć...?

– On po prostu utrzymuje się przy życiu – odparł. – Oczywiście, wedle powszechnego mniemania to żadne życie. Najgorsze jest to, że właściwie nic nie da się zrobić. W wypadku większości chorób można stosować profilaktykę albo przynajmniej tego próbować. Natomiast tutaj wszystkie działania profilaktyczne, jakie kiedykolwiek podejmowano, okazały się zupełnie nieskuteczne. – Nagle zniecierpliwił się i zmienił temat: – Jutro rano złożę mu wizytę. Teraz naprawdę musimy już jechać. Pięć minut zmieniło się w dziesięć...

– Widziałas ten samochód? – spytał Alfons, gdy Mildred prowadziła starego sedana bulwarem. – Widziałas tego srebrnego hudsona?

– Nie – odpowiedziała.

– Miał kubańską rejestrację – rzekł podniecony.

– Nie widziałam go – powtórzyła. – I co z tego? Tutaj nie brakuje samochodów z Kuby.

– Ale ten wyglądał jak samochód mojego lekarza – odrzekł – który kilka razy uratował mnie na Kubie. To był najlepszy lekarz, jakiego miałem, oprócz pewnego Włocha, kiedy byłem jeszcze dzieckiem. Znał się na tym o wiele lepiej niż wszyscy inni. Może to jego samochód. Zatrzymajmy się, proszę cię. Może to on. Proszę, zawróćmy...

– Jak chcesz – odparła. W jej ochrypłym głosie zabrzmiała nagle nadzieja, że mógłby znaleźć kogoś innego, kto dzieliłby z nim jego upiorną samotność i lęk przed śmiercią. Kiedy jednak zahamowała i czekała na odpowiedni moment, by zawrócić, położył smukłą nerwową dłoń na jej ramieniu.

– Nie – powiedział, znów ulegając swej zmienności nastrojów. – Nie, jedź dalej...

– Lekarz jest właśnie tym, czego ci teraz najbardziej potrzeba – nalegała.

– Nie – odparł. – On też nie mógłby zrobić nic innego, jak tylko czekać. – Potem jednak przyszła mu do głowy inna myśl. – Nie zauważyłaś, czy wynosił walizki z samochodu?

– Nie – odrzekła, ponownie ruszając z miejsca. Kosztowało ją sporo wysiłku, żeby zrobić to ostrożnie i nie wyładować

złości i zniecierpliwienia w gwałtownym zrywie. – Nic nie zauważyłam...

– Bo jeśli wprowadził się do hotelu, byłoby lepiej, żebyśmy jednak wrócili. Byłby w pobliżu. To zawsze mnie uspokaja.

Mildred znów zatrzymała samochód. Za nimi rozległy się głośne sygnały klaksonów poirytowanych kierowców.

– Odwiozę cię z powrotem. Ale nie pójde do twojego pokoju. Sam będziesz musiał poczekać na swojego doktora. Może usiądzie przy łóżku i potrzyma cię za rączkę...

Spojrzała na jego naznaczoną strachem twarz i urwała w pół zdania. Jakby z jakiegoś dawno zapomnianego, matczyne go zakątka jej serca wyłoniło się uczucie zawstydyzenia własną bezwzględnością.

– Wybacz – powiedziała. – Ale nie mogę zostać sama z tobą w tym obcym pokoju. Boję się... Przecież chcę być przy tobie – ciągnęła. – Jeśli mam przy tobie zostać, to zostanę. Ale nie sama w twoim pokoju. Zawiozę cię do Key Largo. Zatrzymamy się w kinie samochodowym „U Maca”. Tam mnie znają. Będziemy mogli zostać w samochodzie i zamówić drinka. Będziemy sami, a jednak nie sami, ponieważ wokół będzie mnóstwo innych samochodów... – Nasłuchiwała odpowiedzi. Ponieważ jednak Alfons wciąż milczał, dodała: – Będziesz mógł mi opowiedzieć swoją historię. W samochodzie nic ci się nie może stać, nikt nam nie przeszkodzi... Opowiesz mi wszystko – powtórzyła. – Chcę się wszystkiego o tobie dowiedzieć... Naprawdę, chcę się dowiedzieć wszystkiego...

Mówiąc to, zastanawiała się: „Po co ja to robię? Czy zawsze muszę być taką pocziwą idiotką? Przecież nic mi z tego nie przyjdzie!”.



Pod rozgwieżdzonym niebem „U Maca”, przy szosie na Key Largo, stały dziesiątki aut. Skądś dobiegała muzyka i chichoty, a jaskrawo ubrane dziewczęta o jędrnych, bujnych, ściśniętych biustonoszami piersiach roznosiły drinki do samochodów.

– Powinienem ją znienawidzić – powiedział Alfons, siedząc w półmroku z przymkniętymi oczami. Pił tak ostrożnie, jakby mógł się skaleczyć szklanką. – Powinienem ją znienawidzić – powtórzył. – To ona przywlekła do nas tę chorobę z Anglii. Ale spróbuj znienawidzić własną matkę... Dwa lata temu siedziała przy moim łóżku w Nowym Jorku i płakała. Można jej tylko współczuć, bo kiedy wychodziła za mąż, sama nie wiedziała, co w sobie nosi.

Zamknął oczy. Zaczął swoją opowieść, swoją spowiedź. Spowiadał się przed mimowolną spowiedniczką, która z trudem wyzbywała się lęku, przed spowiedniczką, która doskonale znała się na mężczyznach i drinkach, ale nie miała najmniejszego pojęcia o książęcych dworach Europy i ich cierpieniach. On jednak spowiadał się przed nią, stopniowo odzyskując spokój.

– Pasma nieszczęść zaczęło się już od mojego dziadka, Alfonsa XII. Miał gruźlicę, która była u nas przypadłością rodzinną, zanim pojawiła się hemofilia. W chwili śmierci dziadek miał dopiero dwadzieścia dziewięć lat. Ożenił się ze swoją kuzynką Mercedes, piękną dziewczyną. Kochał ją. Ale nam nie wolno kochać bezkarnie. Mercedes umarła wkrótce po ślubie. Było to w roku 1878. Rok później dziadek ożenił się po raz drugi: z moją babką Krystyną, córką austriackiego arcyksięcia. Nie było to małżeństwo z miłości, lecz wynik

politycznej kalkulacji. Ale przywykli do siebie, gdyż moja babka była mądrą kobietą, a może również przeczuwała, że dziadkowi nie zostało już wiele życia. W owym czasie w Hiszpanii zaczęło być niespokojnie. Republikanie i socjaliści buntowali się w Walencji. Domagali się republiki. I mój dziadek, stopniowo wypływając płuca, widział zbliżającą się katastrofę hiszpańskiego domu królewskiego.

Przepełniony rozpaczą oczekiwał, że przed śmiercią doczeka się syna, żeby nasza dynastia nie pozostała bez dziedzica tronu. Przez sześć lat czekał na próżno. Tymczasem podejmował rozpaczliwe wysiłki, by być dobrym królem, zbliżyć się do ludu i pozyskiwać jego przyjaźń. Szczęście jednak mu nie sprzyjało. W grudniu 1884 i w styczniu 1885 roku nastąpiły straszliwe trzęsienia ziemi, które spustoszyły Grenadę. Jeśli dziś się powie, że wówczas straciło życie tysiąc ludzi, to już nie robi takiego wrażenia. Przywykliśmy do straszniejszych rzeczy, ale wtedy była to przerażająca katastrofa, i mój dziadek pojechał do Grenady, choć lekarze próbowali go przed tym powstrzymać. Wtedy nie było jeszcze kolei. Przez czternaście dni musiał podróżować konno, a nierzadko pieszo przez odludną sierrę. Pogoda była okropna, miejscami śnieg miał metr głębokości. Nocą dziadek sypiał w namiocie, bardzo rzadko w jakiejś chacie. Całe wsie uległy zniszczeniu. Grenada zmieniła się w jedną wielką ruinę. Nie było możliwości odtransportowania rannych. Leżeli na drogach. Dziadek kazał postawić baraki i sprowadzić materace. Wszystkie pieniądze, jakie tylko udało mu się zdobyć, polecił przekazać do Grenady – na drogi i odbudowę wsi, żeby ludzie mieli pracę i dach nad głową. Ale kiedy powrócił do Madrytu, był już śmiertelnie chorym człowiekiem. Na własne oczy zobaczył nędzę

i zrozumiał, że powinien wprowadzić reformy społeczne, by zapobiec temu, co w końcu później, przed siedmiu laty, rzeczywiście się stało, gdy wybuchła rewolucja republikańców, a mój ojciec i my wszyscy musieliśmy cichaczem uchodzić z Madrytu. Niestety dziadek nie miał już na to czasu. Zaraz po trzęsieniach ziemi rozpętała się epidemia cholery. Zaczęła się latem 1885 roku, najpierw w Walencji i Murcji. Każdego dnia umierało pięciuset i więcej ludzi. Kiedy babka mi o tym opowiadała, drżałem ze strachu.

Gdy epidemia podpełzała do Madrytu, dziadek nakazał swojej rodzinie pozostać w mieście. Lekarze chcieli go odebrać w bezpieczne miejsce, lecz on w ogóle nie zaprzętał sobie tym głowy. Odwiedzał baraki choleryczne. Umierające pielęgniarki całował w rękę. Dlatego rojaliści zrobili z niego potem bohatera. Ale to nie było żadne bohaterstwo. To była rozpacz, tylko rozpacz i lęk o przyszłość rodziny, która nie miała dziedzica tronu i dla której, jak wówczas powiadano, chciał pozyskać „miłość ludu”...

Alfons po raz pierwszy otworzył oczy i przyjrzał się dziewczynie, towarzyszącej mu wbrew swej woli.

– Spójrz tylko na mnie – powiedział tonem zmęczonej drwiny – masz przed sobą człowieka królewskiej krwi, który nie jest bohaterem, tylko czuje strach, zwykły strach. Jesteśmy tacy sami jak wszyscy inni ludzie. I mój dziadek też taki był, czuł strach i rozpacz... Epidemia cholery okazała się gwoździem do jego trumny, choć był młodszy niż ja teraz, o dwa lata... Ale czy ty w ogóle jeszcze chcesz słuchać mojej opowieści? Słuchasz mnie jeszcze? Słuchasz...?

– Mów dalej – odpowiedziała, w rzeczywistości nasłuchując muzyki jazzowej dobiegającej ze stojącego w pewnym

oddaleniu samochodu. – Wygadaj się... Możesz się spokojnie wygadać...

– Na tydzień przed śmiercią – opowiadał dalej Alfons – dziadek znalazł pewnego pocieszenia. Babka powiedziała mu, że spodziewa się dziecka. Leżał już na łożu śmierci w naszym pałacu w El Pardo. Błagał babkę, żeby dziecka, jeśli to będzie syn, nie nazywała Alfonsem, tylko Ferdynandem. Gdyby jego synowi nadano imię Alfons, musiałby jako król otrzymać imię Alfons XIII. I strach przed tą pechową trzynastką dziadek zabrał z sobą do grobu. W sześć miesięcy po jego śmierci przyszedł na świat mój ojciec i wbrew woli dziadka nadano mu imię Alfons XIII, ponieważ obstawali przy tym ministrowie królewskiego rządu. Od tego dnia zaczęły się sprawdzać wszystkie złe przeczucia dziadka – nieszczęścia spadły na mojego ojca, na mnie, na moich braci i na całą rodzinę...

Gdyby babka nie spodziewała się wówczas dziecka, tron w Hiszpanii może zostałby obalony już w 1885 roku. Tuż po śmierci dziadka zbuntowali się republikanie. Dochodziło do zaciętych starć w zgromadzeniu narodowym, zwanym Kortezami, które w Hiszpanii są czymś podobnym do waszego Kongresu. W końcu babka osobiście udała się do Kortezów i oświadczyła deputowanym, że oczekuje dziecka i że to może być przyszły król Hiszpanii. Wtedy w większości deputowanych obudziły się rycerskie uczucia, tak chętnie okazywane przez Hiszpanów. Wystąpili w obronie mojej babki, ci zaś, którzy tego nie uczynili, powstrzymywali się od działania, dopóki nie było pewności, czy narodzi się nowy król czy też tylko dziewczynka. Gdyby na świat przyszła dziewczynka, oznaczałoby to republikę. Tak więc cała rodzina z nadzieją oczekiwała syna i nikt nie przeczuwał, że kiedy mój ojciec

przyszedł na świat, w rzeczywistości oznaczało to wszystko, tylko nie szczęście. Było to 17 maja 1886 roku. Napięcie polityczne w Madrycie osiągnęło wówczas taki poziom, jaki dziś trudno sobie nawet wyobrazić. Przed południowym skrzydłem naszego pałacu, gdzie mieszkała moja babka i gdzie potem ja dorastałem, już na wiele dni przed rozwiązaniem wyczekiwał ogromny tłum. Poród był bardzo ciężki i trwał nieskończenie długo. Przy działach, z których wówczas przy narodzinach królewskich dzieci oddawano salut, czekali artylerzyści. Piętnaście wystrzałów oznaczało dziewczynkę, dwa-dzieścia jeden – syna. W końcu nadeszło to wielkie południe. Huknęły pierwsze salwy, a tłum odliczał każdy wystrzał. Kiedy doszli do piętnastu, napięcie sięgnęło zenitu. Tysiące ludzi nasłuchiwało, czy padnie szesnasty. W końcu się rozległ. Po nim nastąpiło jeszcze pięć dalszych. Ale tłum już ich nie słyszał. Większość ze zgromadzonych przy narodzinach dziewczynki wrzasnęłaby natychmiast: „Precz z monarchią!”, teraz natomiast krzyczano: „Niech żyje król!”. Tłum obalił strażę i wdarł się do pałacu, a potem na galerię, skąd można było obserwować, jak zgromadzonym ministrom oznajmiano narodziny królewskiego syna. Arystokraci dworscy przecisnęli się aż pod drzwi sypialni mojej babki. O dwunastej trzydzieści wyszedł markiz Santa Cruz i oznajmił drżącym głosem: „Jej królewska wysokość Krystyna dała życie królowi”. W kilka minut później zjawił się Sagasta, ówczesny premier Hiszpanii, niosąc przed sobą złotą tacę. Leżała na niej czerwona aksamitna poduszka obszyta koronką i tiulem, a na niej – mój ojciec. Musiał być całkiem nagi, żeby każdy mógł się przekonać, że to naprawdę chłopiec. Ojciec krzyczał wniebogłosy, jakby przeczuwał, że życie przyniesie mu same nieszczęścia. Babka często mi o tym

opowiadała, kiedy byłem jeszcze mały. Ale tłum na galerii, ministrowie i rojalistyczni deputowani krzyczeli jeszcze głośniej: „Mamy nowego króla!”. Przez pięć następných dni odbywały się tańce i zabawy. Ojcem chrzestnym został papież Leon XIII, reprezentowany przez pewnego kardynała. Hiszpańscy mnisi sprowadzili święconą wodę do chrztu ze świętej rzeki Jordan. Było to nieprawdopodobne święto radości i nikt nie miał pojęcia o zgryzocie, jaka tymczasem zmaćła radość w sypialni mojej babki, gdyż mój ojciec był taki chudziutki i słabowity, że każdego, kto go zobaczył, ogarniał lęk, iż przyszedł na świat obciążony chorobą mojego dziadka. Podczas gdy ludzie wciąż jeszcze radowali się na ulicach, nasz pałac znów zamienił się w szpital. Codziennie byli tam lekarze i pielęgniarki. Moja babka wciąż o tym opowiadała, chcąc mnie pocieszyć w dniach choroby i uświadomić mi, że jako chłopiec mój ojciec też musiał leżeć w łóżku tak często jak ja. Kiedy ojciec miał cztery lata, jego stan pogorszył się tak bardzo, że lekarze nie dawali żadnej nadziei. To cud, że pozostał przy życiu i stopniowo zaczął odzyskiwać siły.

Tymczasem poza murami pałacu dawno już przebrzmiała radość tłumów z powodu jego narodzin. Po raz pierwszy strzelano do ojca w dzieciństwie, gdy szedł z moją babką do kościoła. Ale może właśnie dlatego, że tak wcześniej przyzwyczał się do zamachów na swoje życie, potrafił przeżyć późniejszy okres, kiedy ja już byłem na świecie i każdego dnia zdarzały się ataki republikanów i anarchistów. Dwunastego maja 1902 roku mojego ojca ogłoszono królem. Miał wtedy szesnaście lat. Ale w całej Hiszpanii już wrzało. W dwa lata później ojciec jedynie dzięki przypadkowi nie został rozerwany przez bombę. Mnie ta bomba uchroniłaby przed przyjściem na

świat i prowadzeniem takiego życia, jakie teraz wiodę... Och, daj mi jeszcze whisky – przerwał swoją opowieść. – Czy ty w ogóle jeszcze mnie słuchasz?

Nie czekał na jej odpowiedź. Nie wiedział, że teraz o wiele szczerzej niż przedtem mogłaby powiedzieć „tak”, rozumiała bowiem, że opowiada jej historie o królach, które przynajmniej w przybliżeniu odpowiadały jej romantycznym wyobrażeniom. Alfons czuł, jak powrót w przeszłość oddala go od złych przeczuć tej nocy, i już nie chciał zrezygnować z tej drogi ucieczki.

– Ojciec po raz pierwszy odwiedził wówczas portowe miasto Barcelona – mówił. – Miał osiemnaście lat. Nadal był wątpliwy i wciąż istniała obawa, że mógłby mieć ukrytą gruźlicę. Ale uprawiając sport, nabrał większej odporności. Był wtedy pięknym młodzieńcem, który lubił się śmiać i wierzył, że uśmiechem może zdobyć przychylność ludu. Kiedy przybył do Barcelony, oczekiwał go wygłodzony, gniewny tłum. Doszło do walk pomiędzy studentami i anarchistami. Trzeba było zatrzymać samochód i znaleźć okrężną drogę. To uratowało ojcu życie, bo zaraz potem bomba eksplodowała dokładnie w tym miejscu, przez które miał przejechać samochód. Rozerwała na strzępy pół tuzina ludzi. Wieczorem tego samego dnia ojciec chciał przejechać przez Barcelonę w towarzystwie premiera Hiszpanii Maury. Zamierzał zatrzymać się na placu i przemówić do ludzi. Tuż przed wyjazdem otrzymał wiadomość, że zmarła jego babka, a moja prababka, mieszkająca w Paryżu. Maura pojechał sam, i nóż, który był przeznaczony dla ojca, ugodził go w lewą pierś... Ale to był dopiero początek. Nie tylko w Hiszpanii, lecz także za granicą ojciec nie był bezpieczny. W rok później pojechał do Paryża. Zaczęto

wówczas poszukiwać dla niego żony. Dworacy wciąż podsuwali mu portrety, żeby go zainteresować córkami z książęcych rodów Europy. Za tymi zabiegami kryli się najczęściej madryccy ambasadorzy różnych krajów, którzy chętnie by widzieli na tronie hiszpańskim Niemkę, Angielkę albo Austriaczkę. Ale ojciec jeszcze wierzył w miłość i dlatego ruszył w podróż po europejskich krajach, żeby osobiście wybrać dla siebie księżniczkę. I tak wiosną 1905 roku zjechał do Paryża. Przybył roześmiany, więc paryżanie nazwali go *le roi charmant* i *le roi printemps*. Prezydent Francji, Émile Loubet, przejechał z moim ojcem przez miasto w otwartym samochodzie. Do wieczora nic się nie zdarzyło. Później jednak, gdy wracali z opery, na rogu rue de Rohan i rue de Rivoli eksplodowała bomba. Konie eskorty poniosły i pozrzuciły jeźdźców. Prezydent upadł na ziemię, również ojca wyrzuciło na ulicę. Bomba zabiła trzy osoby. Ojciec nieledwie cudem uszedł z życiem i tylko dzięki umiejętności panowania nad sobą, jakiej nauczył się już w dzieciństwie wobec licznych zamachów na swoje życie, mógł w chwilę potem oświadczyć z uśmiechem: „To nasze ryzyko zawodowe”. Stało się jego przeznaczeniem, że pod uśmiechem skrywał łzy. Z Paryża pojechał do Anglii. – Alfons poruszył się. – Wiele bym dzisiaj dał za to – westchnął ciężko – żeby nigdy nie przepłynął przez kanał La Manche i nie zobaczył Londynu.

Przerwał i szybko wypił kilka łyków whisky.

– W Londynie poznał królową, twoją matkę – powiedziała dziewczyna, wyciągając z bocznej kieszeni drzwi samochodu butelkę whisky i dolewając mu do szklanki. Najwyraźniej starała się zachęcić go do mówienia, może z ciekawości, a może po to, żeby powstrzymać go przed opowiadaniem o swoich



przecuciach; miała nadzieję, że w końcu wyczerpie go alkohol i ta rozwlekła spowiedź.

– Gdybyż chodziło tylko o moją matkę – odparł tonem nabrzmiałym drwiną. – Ale ojciec przepłynął przez kanał La Manche także po hemofilię. – Znów pociągnął ze szklanki. – Było to 5 maja 1905 roku – powiedział ochryplym głosem, trzymając szklaneczkę tak ostrożnie, jakby to był jakiś gad. – Tego właśnie dnia mój ojciec przepłynął przez kanał La Manche do Anglii. I tego dnia wszystko się zaczęło...

Wypił jeszcze jeden łyk i odstawił szklaneczkę na tacę przed tablicą rozdzielczą.

– Każdy wiedział – ciągnął – że ojciec poszukuje narzeczonej. W Londynie uczyniono wszystko, żeby przedstawić mu najpiękniejsze księżniczki, jakie mógł zaoferować dwór angielski. Dwa królewskie jachty czekały już u francuskiego wybrzeża, żeby go przywieźć do Portsmouth... Były oflagowane od góry do dołu, jakby na jakąś radosną uroczystość. Jachty nosiły nazwy „Wiktoria” i „Albert” – imiona zmarłej cztery lata wcześniej królowej Anglii i jej księcia małżonka. Angielski następca tronu, książę Walii, oczekiwał ojca w Portsmouth i pojechał z nim do Londynu. Tam czekał już Edward VII, najstarszy syn królowej Wiktorii, będący królem Anglii od 1901 roku. Powitał mojego ojca wśród radosnych okrzyków tłumu i dźwięków muzyki na dworcu, który również nosił nazwę „Wiktoria”. Wiktoria – bez przerwy Wiktoria! Nikt się jeszcze nie domyślał albo może nie chciał się domyślić, że Wiktoria, uwielbiana królowa, która stworzyła potęgę Anglii, była także nosicielką hemofilii, choć sama o tym nie wiedziała.

Jak mi później opowiadała babka, król Edward wybrał wówczas trzy angielskie księżniczki, aby przedstawić je

mojemu ojcu. Miał nadzieję, że jedna z nich mu się spodoba, że – jak to wtedy pięknie, romantycznie określano – rozpali jego serce. Ale mój ojciec miał dziewiętnaście lat i zupełnie inny gust niż król Anglii.

Gdyby ojciec wybrał jedną z tych trzech księżniczek, teraz by mnie tu nie było. Tego wieczoru, gdy w pałacu Buckingham odbywało się wielkie rodzinne przyjęcie połączone z prezentacją księżniczek, spojrzenie mojego ojca padło na młodziutką blondynkę. Mogła mieć najwyżej osiemnaście lat. I nikomu w Londynie nie przyszło do głowy, żeby widzieć w niej ewentualną kandydatkę. Siedziała na samym końcu wielkiego stołu. Nazywała się Wiktoria Eugenia von Battenberg<sup>2</sup>. Była jedyną córką księżniczki Beatrycze, najmłodszej córki królowej Wiktorii, która wyszła za niemieckiego księcia Henryka Battenberga. Nazywano ją po prostu Ena. Owego wieczoru nikt jeszcze nie podejrzewał, że mój ojciec zakocha się w niej od pierwszego wejrzenia. Tylko ona zauważyła, że co chwila rzuca ku niej spojrzenia i że nudzi go konwersacja z innymi kandydatkami.

Również następnego wieczoru, podczas wielkiego uroczystego bankietu, nikt jeszcze niczego nie przeczuwał. Ale mój ojciec nie byłby owym Don Juanem, za jakiego wówczas uchodził, gdyby nie udało mu się pomiędzy tymi dwoma przyjęciami porozmawiać z Eną sam na sam. Spotkali się w parku. Był oczarowany, a i ona w nim się zakochała. Brytyjski król Edward przez całe życie miał jedną słabość: uwielbiał aranżować romanse i kojarzyć małżeństwa. Tym razem potrzebował jednak kilku dni, żeby się zorientować, iż mój ojciec, jeśli tak można powiedzieć, zakochał się w niewłaściwej kobiecie. Potem jednak król Edward uczynił wszystko, by zamiast

przewidywanych kandydatek osadzić na hiszpańskim tronie Enę. To była wyższa polityka. Ojciec powrócił do Hiszpanii zakochany po uszy i oznajmił mojej babce, że znalazł miłość swojego życia. Babka przestraszyła się na dźwięk imienia i nazwiska ukochanej – Ena von Battenberg.

– Alfonsie – powiedziała – czy zdajesz sobie sprawę z tego, co zamierzasz zrobić?

– Tak – odparł ojciec, niczego nie podejrzewając – chcę się ożenić z księżniczką Eną von Battenberg... Dlaczego jesteś taka przerażona? – Twarz mu spochmurniała. – Masz coś przeciwko temu?

Babka poprosiła ojca do swoich prywatnych pomieszczeń.

– Łękam się o ciebie i o twoją przyszłość – powiedziała. – Nigdy nie słyszałeś o tajemnicy i chorobie Battenbergów?

– Nie – odrzekł mój ojciec. – Ena jest piękna i zdrowa. Jeśli ktoś tu jest chory, to my, a nie Ena. Popatrz tylko na jej portrety, obejrzyj je sobie...

– Bardzo chciałabym wierzyć, że masz rację... – bezradnie wyszeptała zrozpaczona babka. – Ale Battenbergowie wydają na świat chore dzieci, które umierają już w niemowlęctwie. Mają za cienką skórę. Są słabe. Wykrwawiają się...

– Nie wierzę w to – odparł ojciec.

– Ale ja to wiem... dwóch braci księżniczki, z którą chcesz się ożenić, jest chorych. Czy w Anglii nic o tym nie słyszałeś?

– Nie – powiedział ojciec. – Nic o tym nie słyszałem. A zresztą, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? W historii naszej rodziny jedna choroba następowała po drugiej, a jednak nie powstrzymywało to naszych przodków przed zawieraniem małżeństw. Kocham księżniczkę Enę. Chcę się z nią ożenić i zrobię to...